

# **Pisać, żyć i kochać – nie umiejąc. Kilka słów o szczerości w literaturze.**

Jan Hartman

## Jan HARTMAN

### Pisać, żyć i kochać – nie umiejąc. Kilka słów o szczerości w literaturze

Pisać, pisać, choć się nie umie. Przechytryć mowę i nie kłamać. A więc pisać wbrew regułom literackiego samozakłamania. Czyli prosto? Poniekąd *p o n i - ż e j w ł a s n y c h m o ż l i w o ś c i*? A więc o czym? O najważniejszym? Główniaka? (uwaga na aluzje, jakże są nieszczerze, wychodząc spod pióra fałszywego erudyty!). Poeta nie zna tej trudności. Sztuczność i kłamstwo kompozycji, dobierania słówek, leży bodaj w naturze samego języka, jego prawda zaś jest przecież wewnętrzną prawdą poezji, alibi dla poetyckiego kłamstwa. Prawdą poezji jest jej własne piękno, które nie musi się z niczego tłumaczyć, nawet ze swej sztuczności. A proza? Proza pisana przez mędrka, nie daj Boże krytyka literatury albo filozofa? Czy również ona może skorzystać z tego alibi, z dyspensy na fałsz? Fałsz uczuć i myśli? Mniej, chyba.

W tak zwanych *t e k s t a c h* nurzamy się w elegancko miarkującej się pretensjonalności i zasłaniamy erudycją. Ale na cocktailach gromadzących ludzi słowa dawno już nie mówi się o poezji i duszy, ani nawet o historii i narodzie. Mówi się o wydaniach, tłumaczeniach, chwali urodę zaocznych dam i innych surogatów kultury salonów, w którą i tak przecież nikt nie wierzy. Książki-rapsodie, zbiory cytatów, kaskady skojarzeń, ujęte lub nie w jakąś kompozycyjną całość (po co?), podlane coraz już bardziej pospolitym sosem „późnomodernistycznej” retoryki (całą tę wtórność usprawiedliwiający), jakimś strukturalistycznym, a jak kto woli, to psychoanalitycznym żargonem (inteligentniejszym, to prawda, od swych poprzedników). Po co to komu? Po co dziś cała ta subtelność i kultura literacka, z jej całą rutynową autoironią i nadświadomością siebie, kultura, której z definicji nie da się już przewyższyć? Czyż nie powiedziano już wszystkiego, co ważne? Czyż nie zagłuszyliśmy i nie pokonałiśmy zastępu klasyków pisania o kulturze, my – zastę-

py autorów tak zdolnych i inteligentnych, że właściwie dlaczego niby – w wybitniejszych przypadkach – nie im równych? Skoro tak, to może wreszcie by odpocząć?

Po co tyle tej mądrości w księgarniach? Czy od mądrości robimy się mądrzejsi? Czy robiąc się jednak mądrzejsi, z każdym rokiem i z każdą książką, stajemy się kimś innym i lepszym? Kimś nowym? Gdy jeszcze można było dzielić świat na ideowy i czysty oraz ten drugi – pretensjonalny, zblazowany, nihilistyczny, zadufany w sobie – było łatwo. Pewne „narracje” i „dyskursy” dawniej umiały mobilizować, przekonywać i przydawać wiary w autentyczność (bo chyba nie samej autentyczności). W przypadku braku tej cnoty można się było literacko kajać i uskarżać na brak talentu, wtórność i złe czasy. Potem znieczulał nas p o s t m o d e r n i s t y c z n y n a s t r ó j, taki, co zostaje po ironii albo po łzach. Dobrotliwy luz, lekki dryf przez kulturę i uczucia, niewinne zawieszenie między kwietyzmem lub permanentną i zdeprawowaną grą a szczerem, lecz naiwnym zaangażowaniem. Skakało się z kwiatka na kwiatek, z książki na książkę, z małej fascynacyjki na inną, z kącika w kącik na literackim party. Ale te „klimaty” już się skończyły! Dziś dopadają nas konsekwencje tego, że tak jest łatwo, że nie trzeba za dużo wiedzieć, aby dobrze się trzymać na takim zlurowanym i demokratycznym salonie czy uniwersytecie. Jak wszędzie, i tu odkryto, że „wszystko jest dla ludzi”.

A zresztą, jesteśmy już na tyle doświadczeni i chytry, że wiemy, iż dawna kultura i wykształcenie to w połowie lipa, blichtr. Nie ma szans na *Bildung* w świecie po stokroć obfitszym w idee i utwory niż za czasów Goethego. Wiemy, ile mieści pamięć, ile da się przeczytać w ciągu dnia, roku i życia. Ani wymowa, ani wiedza nas nie podnieca. I tak fachowca żaden salonowy retor, choćby najbardziej olśniewający, nie przebije. Jaką drogę przeszliśmy od XVIII wieku opowiem Wam przez anegdotkę, anegdotkę o pani i szarlotce. Prosto z krakowskiego salonu, zza stołu zasiedziałego krytykami i teoretykami literatury. Siedzę więc przy tym stole, a obok mnie jakaś polsko-francuska młoda piękność. Chodzą wokół ludzie i noszą z bufetu smakowite szarlotki. W najlepszym stylu swej barokowej błazenady zwracam się do sąsiadki: „Czy nie poczyta mi Pani za natręctwo, jeśli udając się na podbój Charlotte, uwiodę ją i dla Pani?”. Pani: „Może być”. Wracam, szarlotkowy rycezyk, tańczący mauretański taniec z dwoma talerzykami nad głową, wreszcie stawiam zdobycz przed panią, której oddałem swe służby. A cóż ona? Pochyla się nad tym, kręci noskiem, wreszcie odpycha na środek stołu, w stronę siedzących naprzeciw profesorów literatury – „chciecie szarlotkę?”. A cóż ja? Jaką obmyśliłem zemstę? Ano, spożytkować „dla literatury”, zadenuncjować. Czy jednak, nadając znaczenie czemuś znaczenia pozbawionemu, popełniam kolejną zdradę i fałsz? Czy przeciwnie – tym nadaniem znaczenia posługuję się uczciwie jako narzędziem spełniania mego literackiego ideału – szczerości? I tak, i tak. Pisanie zawsze ociera się o emocjonalny i logiczny kicz. Jego prawda jest okupiona przez nie-prawdę. Tak jak gadanina kochanka.

W czym ratunek? W czym zatracić się można i gdzie uwiarygodnić szaleństwem? Skoro nawet do więzienia zamknąć nas nie chcą! Jaka przyszłość czeka kręgi lite-

rackie i humanistyczne, jeśli na żadną przyszłość już się nie otwierają, nie żyją żadnym projektem? W czasie, gdy ani ironia, ani cynizm, ani nawet autentyczność nie mogą się cieszyć przywilejami a u t e n t y z m u, gdy sama kategoria szczerości nie ma żadnej wyróżnionej pozycji, w takich czasach nie ma w ogóle przyszłości. Po prostu musimy czekać – aż zmiecie nas życie, a raczej śmierć. Aż przestaną to jedni wydawać, a inni – czytać. I wtedy może zrobi się miejsce dla nowych głów i serc gorących. A paplanina nowych kochanków, zawstydzona banałem, znowu zmieni się w literaturę, nie oglądając się już na sułtańską impotencję guru krytyki, nie czekając na jego hermeneutyczne łaski d o s t r z e ż e n i a i u z n a n i a.

Apeluję do piszących (ale nie „ludzi pióra”). Zapomnijcie o „kręgach literackich” jak najprędzej. Pozwólcie wymrzeć im śmiercią naturalną jak najszybciej. Odmówcie im autorytetu. Wzgardźcie stępakowym młynem eseju i krytyki, mielącym na papkę „tekst kultury”, garkuchnią brukającą w wielkim kotle „wszystkiego ze wszystkim”, w mdłej i lepkiej *Tagessuppe*, wszelką czystość i autentyczność. Nie idźcie za nimi! Nie szukajcie ich pochwał. Słuchajcie g ł o s u choćby w poruszeniach trzewi, szukajcie m e t a f i z y k i w zakochanych oczach, w delirium, gdzie chcecie, byle nie w inteligencji i erudycji. Zostawcie rzemiosło Wielkiego Cytowania wyrobnikom zmurszałej akademii literatury, uchodźcie przed syrenim śpiewem Eseju. Żyćcie i kochajcie najpierw. Potem gadajcie. Bądźcie poetami, nawet w prozie. Bo inaczej zagadacie życie, zakłamięcie miłość, zmądrzejecie ponad potrzebną miarę. I skończycie jak filozof.

Bo życie nie służy mądrości ani mądrość nie służy sama sobie. Władcze plemię eseistów i krytyków łączy tę prawdę. I to w najbardziej perfidny sposób. Cóż bowiem stoi na przeszkodzie, by „literat”, „człowiek pióra” wypowiadał takie jak tu oto neoromantyczne tyrady? Bardzo proszę – mamy wolność; wystarczy umieć dobrze pisać. „Nie gorączkuj się! My wszystko wiemy, żadnej prawdy nie uronimy. A żyć i kochać też umiemy”. Od tej przewrotności można tylko uciec – *hommes des lettres* są nie do przegadania; nie przyłapiemy ich na żadnym „nie wiem”. Uciekajcie!

Ale swego apelu ja sam nie mogę podjąć. Za późno – za mało Bożego daru, za dużo zepsucia. Moje marzenie o szczerości nie może już spełnić się w sposób naturalny – przez miłość i talent. Wśród młynarzy tekstów jestem u siebie. Mielą, mielą i pyłą nieznośnie – „gdy się ich dłońmi chwyci, pyłą jak wory mączne” (Nietzsche). Jestem jednym z nich. Cóż więc z nami, cieniami literatury i filozofii, pogrobowcami starczej hermeneutyki zwanej kulturą literacką, sierotami po kryzysach, które dawno się znudziły? Ja wam, ja nam powiem: pisać, pisać prawdziwą prozę, choć się nie umie. Przechytrzyć mowę i nie kłamać. Pisać wbrew regułom literackiego samozakłamania. Pomimo wstydu. Prosto. Poniekąd poniżej własnych możliwości. Pisać o najważniejszym. O życiu, miłości i śmierci. Żeby się przekonać naprawdę, a nie tylko teoretycznie, że n i e u m i e s i ę p i s a ć, bo nie ma się nic do powiedzenia. I zapłakać nad tym zakalcem. Bo czyż nie żyje się dla jednej chwili prawdy?